

2.

„W tym czasie Jezus wyszedł na górę, aby się modlić, i całą noc spędził na modlitwie do Boga. Z nastaniem dnia przywołał swoich uczniów i wybrał spośród nich dwunastu...” (Łk 6,12-13).

Jak się okazuje, nawet samemu Bogu nie jest tak łatwo skombinować listę powołanych. Dlatego całą noc spędził na modlitwie... Przecież On wszystko wie! A może właśnie dlatego tak niełatwo Mu było?

Po wielu latach Jezus wręczył Józkowi piękną czarną sutannę i powiedział „Pójdź za mną”, czyli o kuźni powołań Chrystusowych...

Tak pewnie byłoby najprościej, ale niestety tak nie jest. Jak to się dzieje, że nagle czuje się, wie się, że zdobywa się pewność, iż jest się powołanym. Czy przypomina to trochę jakby wewnętrzne szarpnięcie, nagle, arytmiczne uderzenie serca? Znowu mogę tylko powiedzieć, że tak byłoby znacznie łatwiej. Rzeczywistość jest jednak inna.

Mówi się, że kuźnią powołania zakonnego czy kapłańskiego jest przede wszystkim rodzina, bo tam powołanie się rodzi i zarazem wzrasta, że tam się je najczęściej po raz pierwszy słyszy i odkrywa. Brzmi to trochę jak slogan: „Kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie”. Zarówno w pierwszym, jak i drugim wypadku wszystko może się oczywiście potwierdzić, ale nie jest to żadna reguła.

W przypadku przytoczonego wyżej powiedzenia wiele zależy od tego, gdzie dany ksiądz pracuje. Jeżeli przebywa na jakiejś placówce na Zachodzie lub w dobrze prosperującej parafii w Polsce, albo z jakiegoś

tytułu ma dostęp do pieniędzy, to być może... Ale jeśli przyszło mu pracować w Bułgarii, Rumunii lub w jakichś odległych częściach dawnego Związku Radzieckiego, to sprawa przedstawia się zgoła inaczej. Wtedy może się okazać, że kto ma księdza w rodzinie, to i dokładać musi...

Co do rodziny, rzekomej „kuźni powołań kapłańskich”, to wiele zależy od indywidualnego przypadku, osobistego doświadczenia, od wielu różnych przypadków i ich niepowtarzalnych kombinacji. W rodzinie Darka na przykład Bogu nigdy się nie naprzykrzano. Pan Bóg mógł w tej rodzinie zażywać świętego spokoju, ba, mógłby zafundować sobie nawet dłuższy urlop i na pewno nikt by Mu nie zakłócił spokoju. A Darek jest księdzem.

Jacek wychował się w rozbitej rodzinie. Modlitwa, jakiej się w tej rodzinie uczył, mogłaby co najwyżej wejść w poczet aktów strzelistych (tzn. takich krótkich modlitw „wystrzeliwanych” w niebo), dużego kalibru, ale nieco innego rodzaju: „Na miłość boską, zejdź mi z oczu, bo patrzeć na ciebie nie mogę! Jezus, Maryja, jak ja ciebie nienawidzę! Do cholery, że też mnie Bóg tobą tak pokarał!”. Jacek też jest księdzem.

Staszek wyszedł z bardzo pobożnej rodziny. Mamę codziennie widać w kościele i w miasteczku wszyscy o tym wiedzą. Staszek był ministrantem, zawsze chodził na rotaty, był przykładem dla innych. Staszek jest księdzem.

Życiorysy świętych też mogłyby być doskonałym materiałem, w jaki sposób rodzina może, ale wcale nie musi być kuźnią powołania. Siostra Faustyna miała przed oczyma ciężko zapracowanego ojca, który wieczorami ostatkiem sił klękał do pacierza, ale już Franciszek z Asyżu takiego widoku – o ile mi wiadomo – nie wspominał.

Z tą kuźnią powołania w rodzinie może być więc różnie. Czasem rodzina jest ową kuźnią w zupełnie innym znaczeniu. Grzegorz wzrastał w rodzinie, gdzie o Bogu nie mówiło się z zasady, gdzie nieobecność krzyża na ścianie nie była przypadkowa. Kościół uważano za instrument w rękach żądnych władzy. Grzegorz jednak został księdzem. Chciał koniecznie zrozumieć, dlaczego w jego rodzinie tak nie lubiano Boga i jego sług? I tak trafił do seminarium.

A moja historia? Wahałbym się powiedzieć, że moja rodzina była w tym czasie wzorem rodziny chrześcijańskiej. Przynajmniej nie w takim sensie,

w jakim zwykle się słyseć z ambony. Chodziliśmy wprawdzie co niedzielę do kościoła, gdyby jednak to miało wystarczyć, to po świecie musiałoby chodzić więcej księży niż laików, bo tylu mniej więcej chłopaków chodziło na niedzielne msze. W domu przestrzegano nakazanych postów: w piątki nie jadaliśmy kielbasy, w Wielkim Poście chodziliśmy na Gorzkie Żale i Drogę Krzyżową, chętnie przyjmowaliśmy księdza po kolędzie, nie pracowaliśmy w niedziele.

Jeżeli w ogóle ktoś w domu modlił się o moje powołanie, to myślę, że była to moja babcia. Moja babcia Józefa. Ona co dzień zachodziła do kościoła i nikt o tym nie mówił. Pan Bóg wie, o co ona tak naprawdę się modliła, a swa tajemnicę zabrała ze sobą tam, na drugą stronę. Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby się kiedyś okazało, że nieśmiało prosiła o dar powołania kapłańskiego w rodzinie. To by chyba nawet do niej jakoś pasowało.

Żadnego jakiegoś nadzwyczajnego głosu, powołania nie czułem. Serce, jeżeli biło mi arytmicznie, to raczej na skutek problemów z astmą. No i później, już w oazowym gronie... ale niekoniecznie od razu w sensie powołania kapłańskiego. Z tym słyszeniem głosu Bożego to trochę tak, jakby z mitologii wzięte: Abraham usłyszał, Mojżesz usłyszał, Samuel usłyszał, Piotr usłyszał, Paweł usłyszał... Tego się nie słyszy. Nikt nie woła po imieniu. Ba, można nie mieć w ogóle uszu i usłyszeć Boga. Człowiek uczy się odczytywać język Boga... lub lepiej – kod swojego powołania. A to bardzo mozolny proces, bo Bóg to nie jednokomórkowy pantofelek.

Najpierw trzeba poznać Jego język. Od tego trzeba zacząć i na tym można połamać zęby – dodam nieco uprzedzając. Takich od tłumaczenia Słów Bożych było już wielu i Jezus jakoś ich nawet nie preferował, ba, wyrażał się o nich nawet dość sceptycznie. Rolę tłumaczy Bożej mowy przejmują w formacji zakonno-kapłańskiej „już powołani”, czyli ojcowie duchowi, spowiednicy, duszpasterze. A zadanie do spełnienia mają nie byle jakie. Aż skóra cierpnie, kiedy pomyśli się, że trzeba być tłumaczem samego Boga. Przecież faryzeusze – też tłumacze woli Bożej – zupełnie zawiedli, nie rozpoznając powołania Jezusa. Twierdzili, że nie tylko nie otrzymał takiego „powołania” od Boga, ale przeciwko temu Bogu bluźnił! Nie mieli przy tym ani krzty wątpliwości, że sami są dobrymi tłumaczami „mowy Boga”. Trzeba więc –jak mi się wydaje – poruszać się po tym terenie z wielką ostrożnością.

Moim tłumaczem „woli Boga” był ojciec Marian, zmartwychwstaniec. Ojciec Marian pełnił wówczas w zgromadzeniu funkcję „powołaniowca”, czyli osoby, która wyławia powołanych lub owe powołania rozbudza. Nie płodzi ich wprawdzie ani też nie rodzi, ale jak akuszerka pomaga (czasem przypiera), asystuje przy narodzinach.

Poznałem go w parafii Księży Zmartwychwstanców na Rynku Wildecim, w duszpasterstwie młodzieży w Poznaniu. Bezsprzecznie był dla nas wszystkich dużym autorytetem. Imponował nam jego sposób bycia, inteligencja, pozycja. Był kimś w rodzaju guru. Cieszyliśmy się, że go znamy i co ważniejsze, byliśmy szczęśliwi, że on zna nas – po imieniu.

Pamiętam niejedną milę spędzoną u niego, przegadany wieczór. Pamiętam czekoladowe cukierki – na owe czasy prawdziwy rarytas – którymi zawsze nas częstował. Miał bez wątpienia dar gromadzenia wokół siebie młodych ludzi, był też jedyną alternatywą wobec tego, co proponowała wówczas szkoła z jej organizacjami. Potrafił stworzyć klimat, w którym czuliśmy się dobrze i za to do dziś jestem mu wdzięczny.

Jak dowiedziałem się o tym, że mam powołanie? Jak je „usłyszałem”?

Powiedział mi o tym właśnie ojciec Marian, na rekolekcjach powołaniowych w Stryszawie, w 1977 roku. Na tym się oczywiście nie skończyło, ale to on pierwszy był ową trąbą Bożą, oznajmiającą Wielką Nowinę: masz powołanie! Pamiętam to doskonale. Klęczeliśmy w małej góralskiej kapliczce (którą opiekowały się – robią to zresztą do dziś – siostry zmartwychwstanki) w absolutnej ciszy, w mroku. Przed nami tlił się dyskretnie jedynie płomień wiecznej lampki.

Było nas niewielu, jeśli dobrze pamiętam zaledwie dziesięciu. Byliśmy rozmodleni, poszukujący odpowiedzi na pytanie: „Jaka jest moja droga... czego oczekuje ode mnie Bóg... jaka jest Jego wola...?”. Ojciec Marian podszedł do pulpitu i powiedział – a był dla nas absolutnym autorytetem w Bożych sprawach – że wszyscy, jak tu siedzimy, mamy powołanie do kapłaństwa.

Nigdy nie zapomnę tego uczucia, które mi wówczas towarzyszyło: radość przemieszana z przerażeniem – według o. Mariana widoczne potwierdzenie, gdyż tak samo przeżywały to wielkie postacie biblijne

– i uczucie radosnego podniecenia. Radość, bo w końcu mam pewność i nie muszę już więcej pytać: ten ciągły brak pewności zaczynał być naprawdę męczący. Radość, bo jestem wśród tych niewielu wybranych – to bądź co bądź „zaszczyt”. I przerażenie, bo świadomość zawieszoności nad sobą Bożego wzroku niekoniecznie zawsze musi wyzwalać radość...

„Nie każdego dosięga taki zaszczyt” – niejednokrotnie przypominał nam ksiądz Marian. Miałem, wszyscy mieliśmy, delikatne poczucie przynależności do elity – niekoniecznie w pejoratywnym znaczeniu. Każdy z nas miał świadomość bycia wybranim. Z pewnością to uczucie obce jest tym, którzy decydują się na zawarcie związku małżeńskiego. Ich wybór traktowany jest trochę jak standard. A tymczasem ktoś, kto decyduje się na zawarcie sakramentalnego związku małżeńskiego, ma takie samo prawo, by czuć się wyjątkowo, by poczuć się wybranim, powołanym, dokładnie tak samo, jak osoba powołana do kapłaństwa – jak my wtedy. On jest tak samo „wybranim”. Decyzja przyjęcia sakramentu małżeństwa w kościele, to odpowiedź na dar wielkiego powołania, którego autorem jest sam Mistrz z Nazaretu. Kościół o tym dobrze wie, tylko być może za cicho o tym mówi.

Do dzisiaj nie wiem, skąd ojciec Marian, ceniony w zgromadzeniu powołaniowiec, miał tę pewność, że wszyscy klęczący wtedy w tej małej kapliczce mamy powołanie. Może faktycznie należał do tych nielicznych proroków, obdarzonych zdolnością interpretowania śladów Boga, bezbłędnego odczytywania Jego myśli. Nie wiem. A może po prostu dobrze wykonywał swoją robotę, był przecież powołaniowcem, a dobry powołaniowiec to taki, który wprowadzi do Bożej owczarni jak najwięcej pogłowa. Mógł się poszczycić niezłym dorobkiem. Miał na koncie (o czym nie wahał się zresztą czasami nadmieniać) niejednego... powołanego.

W każdym razie później, dużo później, nie mogłem mu tego wybaczyć. Nie dlatego, żebym nie miał powołania, lecz dlatego, że zamiast do końca asystować, zdecydował się ten poród niejako przyspieszyć. Może bał się ciąży przenoszonej – nie mam pojęcia. A ja wolałbym raczej, by wraz ze mną tej mojej ciąży (złożonego we mnie nasienia Bożego powołania) po prostu cierpliwie do końca towarzyszył. W owym momencie było to nawet bardzo wyzwalające, jednak w perspektywie kolejnych kroków i decyzji ciążyło. Wolałbym powołaniowca – jeżeli w ogóle przyjąć, że funkcja fachowca od myśli Bożych ma swoje uzasadnienie – w stylu Sokratesa.

Sokrates widział siebie jedynie w roli akuszerki towarzyszącej narodzinom – w jego wypadku narodzinom prawdy – akuszerki, a nie rodzicielki...

Ojciec Marian wiedział wtedy o Sokratesie na pewno dużo więcej ode mnie, tyle że widocznie poród naszej dziesiątki, w góralskiej kapliczce w Stryszawie, wydał mu się już zbyt długi i zdecydował się na cesarskie cięcie. Można pewnie i tak, ale rodzi się pytanie, czy był to na pewno właściwy moment? Czy aby na pewno o. Marian widział wcześniej badanie USG i wiedział, co ma przyjść na świat, i w końcu czy o. Marian miał upoważnienie lekarza ginekologa i mógł pozwolić sobie na wykonanie cesarskiego cięcia?

Jeżeli przyjąć, że to z woli Ducha Świętego, bo z polecenia zgromadzenia dane mu było pełnić posługę powołaniowca, to trzeba by założyć, że ową „koncesję” owszem, posiadał. Mimo to nierozstrzygnięta pozostaje wątpliwość, czy pod każdą jego decyzją każdym jego zdaniem, choćby i ze świętej ambony wypowiedzianym, jak choćby i wtedy w prześlicznej, małej góralskiej kapliczce w Stryszawie, podpisywał się sam Duch Święty. Zastanawiam się, czy sam o. Marian potrafiłby na to pytanie bez zająknięcia odpowiedzieć⁵.

*Nie ma większej sprawy dla powołanego jak posłuszeństwo woli
Bożej...*

Tylko to wcale nie takie łatwe, gdyż „niezbadane są Jego wyroki i nie do wysłedzenia Jego drogi!” (Rz 11, 33). I to znacznie komplikuje sprawę. A Duch Święty to nie gumowy worek, do którego można wrzucać co się chce... (i tłumaczyć, że taka była wola Boża). Jeżeli wszystkie podejmowane w Kościele decyzje są równoznaczne z wolą Ducha Świętego, to należałoby zapytać o Jego zdrowie psychiczne i zastanowić się nad Jego poczytalnością. A jeżeli Duch Święty to naprawdę gołębicą, to musi być z pewnością w żalonym stanie, nieźle oskubana, bo każdy próbuje coś tam z niej dla siebie uszczknąć.

⁵ Podobne doświadczenie opisuje znany jezuita Carlos G. Valles w swojej książce *Sztuka wyboru* (WAM, Kraków 2004). Ani Tomasz Jaeschke, ani Carlos G. Valles nigdy nie kwestionowali autentyczności swojego powołania. Obaj jednak z taką samą „wdzięcznością” wspominają tych, którzy nie zawahali się przyspieszyć ich decyzji (przyp. red.).

„Weźmijcie Ducha Świętego”, powiedział Jezus do uczniów i podwiązał mu skrzydła, by zbyt wysoko nie pofrunął...

Rozumieć czego On, Duch Święty, chce, faktycznie chce, co może myśleć, to naprawdę nie takie łatwe, jak się często zwykło słyszeć z ambony. Może co nieco z mojego małego zakonnego podwórka, gdzie tłumaczenie myśli Bożych należało (i wciąż należy) do istoty powołania i stanowiło o profesjonalizmie hierarchicznego Kościoła...

Jeżeli mój dobry przyjaciel, ksiądz, prosi władze zgromadzenia o przeniesienie go do innej parafii, gdyż przełożony zakonny, z którym było mu dane dzielić dach nad głową i jeden stół na plebanii, jest uosobieniem wszystkiego poza miłością bliźniego, a mój przyjaciel obawia się, że dłuższe trwanie w takich warunkach może wkrótce stać się dla niego nie do zniesienia, że może nie wytrzymać psychicznie, zaś przełożeni zakonni w imię miłości do Boga każą mu tam dalej tkwić i po jakimś czasie mój przyjaciel trafia najpierw do gabinetu lekarza, a potem do szpitala psychiatrycznego, gdzie poddawany jest długiemu leczeniu... to trudno mi uwierzyć, że Bóg tak chciał i że przełożeni działali w Jego imieniu, że byli Jego głosem! Trudno uwierzyć, że dobry Bóg w swoich planach chciał rzeczywiście zafundować mojemu przyjacielowi darmowy pobyt w zakładzie zamkniętym dla nerwowo i psychicznie chorych... W takiego Boga to aż strach wierzyć. On jest nieobliczalny!

Jeżeli inny ksiądz, także mój serdeczny przyjaciel, zostaje – za sprawą tzw. obediencji („woli Bożej”), przekazanej przez władze zgromadzenia – skierowany na placówkę, gdzie, co z góry wiadomo, grozi mu pogłębienie się problemu z alkoholem, problemu, z którym właśnie usiłuje sobie poradzić i zgromadzenie o tym doskonale wie... i on to przeczuwa i prosi o zmianę decyzji, zmianę „woli Bożej”, i po swojej interwencji na mocy nowego dekretu „woli Bożej” zostaje przeniesiony do dużego miasta, do dużego skupiska ludzi, do zdrowszego dla niego środowiska, to trudno mi uwierzyć, że to wszystko dzieje się za sprawą Ducha Świętego. Wygląda na to, że mój stary przyjaciel swoim odwołaniem pouczył Ducha Bożego, co ma robić...

Przed kilku laty parafię oraz miejsce pielgrzymkowe w St. Corona (Austria) przejął – z Bożym błogosławieństwem – nie kto inny, jak syn duchowy eks-zmartwychwstańca, dziś założyciela i generała ruchu maryjnego (o nazwie „Płomień Miłości Niepokalanego Serca Maryi”), o. Andrzej-

ja Michałka – Alois Hüger. Ojciec Michałek jest na pewno nietuzinkową postacią i zawsze pozostanie w pamięci zmartwychwstańców, stąd też chciałbym poświęcić mu przynajmniej kilka zdań.

Nieraz wspomniano go w zgromadzeniu, niestety niezbyt dobrze, a mówiąc o nim, jakby na komendę pukano się w czoło. Opowiadali o nim znający go, starsi księża, że coś mu się we łbie pomieszało... i „dzięki Bogu, że odszedł, bo głupków dosyć w zgromadzeniu” (dodawali co dowcipniejsi).

Ojciec Michałek po opuszczeniu Zgromadzenia Księży Zmartwychwstańców wywedrował najpierw do Boliwii, a później (1977) osiadł w diecezji niemieckiej w Augsburgu. Tam właśnie miał wizję, która zadecydowała o jego przyszłości: w przepalonej żarówce zobaczył nagle literę M... „jak Maryja”. I tak ów znak zinterpretował. Przeżył prawdziwe oświecenie. Był to wyraźny znak od Matki Bożej – coś w rodzaju „cudu w żarówce”. Lecz to jeszcze nie wszystko. Słyszał też jakieś głosy. Matka Boża chciała, by założył dla niej zakon. A posłużyła się zwykłą żarówką...

Ojciec Andrzej był pewien swojej wizji. Zmartwychwstańcy bynajmniej nie mieli mu za złe, że ich opuścił, i chyba trudno im się nawet dziwić. Ten cud był znakiem dla ludzi nie tylko o silnej wierze, ale i o silnych nerwach. Niejeden mózg by tu wysiadł. Po co Maryja miałyby się pchać do żarówki? Nie mam pojęcia.

Pomijając proces, jaki został wytoczony o. Andrzejowi w Niemczech, w którym został oskarżony o manipulowanie darami przeznaczonymi dla Polski (w związku z czym zakazano mu wjazdu do Niemiec), a także jego tułaczkę po Włoszech, dla nas ważne jest to, że pożegnany z nieukrywaną ulgą przez jednych przełożonych kościelnych, przez innych został przyjęty ze szczerą radością...

Jedna ręka przełożonego stuka się w czoło, sugerując zaburzenia głównego ośrodka nerwowego, a inna w tym samym czasie błogosławi... Ojciec Święty Jan Paweł II udzielił o. Andrzejowi specjalnego błogosławieństwa! Na jego mocy o. Michałek założył od dawna wymarzony przez siebie (a polecony ponoć przez Maryję w żarówce) zakon, mianując się jednocześnie jego generałem. Powstałe dzieło wspiera kolejna ręka, także przełożonego kościelnego, tym razem arcybiskupa Wiednia, kardynała Chrystopha Schönborna OP, który nowemu zgromadzeniu oddał do dyspozycji jedną z parafii swojej diecezji!

Ta zepsuta, przepalona, mówiąca żarówka, zaczęła nagle – jak się okazuje – dawać więcej światła aniżeli cały reaktor atomowy. W tym sensie okazała się naprawdę cudowna.

Chciałbym zobaczyć – ze zwykłej ludzkiej ciekawości – miny tych wszystkich zmartwychwstańców, którzy kiedyś przy mnie pukali się w czoła, czy aby im palec nie usechł... Nie bardzo można się w tym wszystkim połąpać, bo co jednych skłania do pukania się w czoło, innych motywuje do udzielenia błogosławieństwa.

Znałem – i byłem nią prawdziwie zauroczony – pewną siostrę zmartwychwstanek (na wypadek gdyby była jeszcze w zgromadzeniu, nie podaję jej prawdziwego imienia, żeby przypadkiem nie sprowokować „woli Bożej” do drastycznych posunięć!), która lubiła sprzeciwiać się „woli Bożej”. Lubiała w Dębkach (miejsce rekolekcji zakonnych Zgromadzenia Księżów Zmartwychwstańców, a jednocześnie doskonale miejsce na nadmorski wypoczynek) chodzić po plaży w zwykłym stroju kąpielowym, w bikini. Habit zostawiała na wieszaku, w szafie i włączyła się po ulicach, zaczepiając tych z tzw. marginesu. Gadała z nimi i śmiała się – normalnie, nie pobożnie – zanosila się wprost od śmiechu... Pod czarnym habitem nosiła białe skarpetki i uwielbiała kawę.

Niby to nic złego, ale tutaj chodzi przecież o siostrę zakonną! Nieustannie wchodziła w konflikt z „wolą Bożą”, reprezentowaną przez zgromadzenie. Radzono jej nawet, żeby spakowała walizki i wróciła do domu... jak mi kiedyś opowiadała. Nie zrobiła tego, bo czuła się powołana, bo uważała, że to jej droga życia. Wszyscy na ustach mieli „wolę Bożą”. W imię woli Bożej miała odejść, ona zaś – też w imię woli Bożej – chciała pozostać. Pech przełożonych zgromadzenia polegał na tym, że owa siostra była już po ślubach wieczystych i niełatwo było ją „ruszyć”.

Można się rzeczywiście w tym wszystkim zgubić: wola Boża, wola nie-Boża... Kiedy tak, a kiedy nie? Dzisiaj tak, jutro nie. Tu tak, a tam nie. Niejednego kleryka usunięto z seminarium – nie tylko seminarium Księżów Zmartwychwstańców – bo stwierdzono u niego brak owego powołania, a po pewnym czasie okazywało się, że ów kleryk znajdował inny zakon czy seminarium, w którym przełożeni byli odmiennego zdania i w nowym miejscu doprowadzano owego człowieka do święceń kapłańskich. Można dostać zawrotu głowy...

Duch Boży tchnie kędy chce i nie radziłbym deptać mu po piętach... A może Bóg też się uczy?

Kiedy w 1987 roku, zaraz po otrzymaniu święceń kapłańskich, zostałem skierowany do pracy związanej z formacją młodych powołań zakonnych i kapłańskich, wiedziałem, że czeka mnie niezła próba. Miałem przyglądać się nowym powołaniom, formować czy podtrzymywać je i wreszcie oceniać... Bycie fachowcem w sprawach Bożych to autentyczna zabawa z ogniem. Można i siebie, i innych niezle poparzyć. Wiedziałem, że czeka mnie niejako rozrachunek z przeszłością. Tym razem to ja miałem przejąć rolę akuszerki. Zapewniano mnie wprawdzie o asystencji Ducha Świętego, o Jego nieustannym wsparciu, o misji udzielonej mi przez zgromadzenie (woli Bożej), a więc niejako o gwarancji powodzenia tego przedsięwzięcia, ale i tak nie dawało mi to spokoju.

Zbyt dużo widziałem już w zgromadzeniu, by tak łatwo ulec radosnemu optymizmowi. Niejednemu z moich współbraci wyrządzono krzywdę, bo komuś wydawało się, że Duch Święty usiadł mu na ramieniu i szeptał, czego od niego chce. Być ekspertem w sprawach Bożych to tak, jakby chcieć chwycić samego Boga za rękę, i nagle rozumieć, o co mu właściwie chodzi... a to – tak naprawdę – całkiem beznadziejna sprawa, bo Pan Bóg przecież nie ma rąk...

Wielu z tych, którym wydawało się, że im się to udało, dziś przeprasza za błędy przeszłości. Bardzo boleśnie przeżyłem tę prawdę, towarzysząc jednemu z naszych ojców – w ostatnich chwilach jego ziemskiej pielgrzymki – w jego rozrachunku z przeszłością... Mieszkał z nami pod jednym dachem, w budynku seminaryjnym, był ciężko chory. Przed laty i jemu powierzono pieczę (i władzę) nad powołanymi. Miał opinię niesłuchanie zdecydowanego, zagorzałego egzekutora woli Bożej. Bił rekordy w odsyłaniu – jego zdaniem niepowołanych – do domu. Był nieprzejednany.

Opowiadano o nim, że jednemu z nowicjuszy, w myśl ćwiczenia się w posłuszeństwie woli Bożej, kazał w ogrodzie zakonnym zasadzić małą brzoźkę (którą ów nieszczęśnik nieopatrznie wyciął), tyle że... do góry korzeniem! Zasadzić i codziennie podlewać. Nietrudno sobie wyobrazić, z jakim skutkiem. Był święcie przekonany, że postępuje słusznie... dla rozpoznania woli Bożej!

Widziałem go, już na progu wieczności, wiele lat później, jak z ogromnym cierpieniem na twarzy, tym fizycznym i duchowym, klęczał godzinami w samotności w naszej seminaryjnej kapliczce, usiłując odprawić Drogę Krzyżową. Wiem od współbrata, który się nim wówczas opiekował, zmieniał opatrunki... jak trudno było mu rozliczyć się z przeszłością... jak przeproszał Boga za być może zmarnowane przez niego „wówczas” powołania... Nie mógł zupełnie znaleźć spokoju... Było mi go bardzo żal. Myślę, że to bardzo bolesna, ale i pouczająca historia.

Nie da się zaprzeczyć, że przyznana mi funkcja powołaniowca, prawej ręki mistrza nowicjatu, była zaszczytem i nie każdemu w zgromadzeniu powierza się takie zadanie. Zdawałem sobie sprawę, że znów w jakiś szczególny sposób zostałem wybrany. Pocięchą w całej tej sytuacji był fakt, że nie byłem sam. Nowicjuszami (kandydatami do zakonu i święceń kapłańskich) opiekował się mistrz nowicjatu, kapłan z ogromnym doświadczeniem, człowiek głęboko rozmodlony, ojciec Jan. Często zarzucano mu brak zdecydowania. Twierdzono, że boi się podejmować decyzje, że jest zbyt ostrożny.

Myślę, że sam rozumiem go teraz o wiele lepiej, niż kiedykolwiek wcześniej. Nieraz przy zamkniętych drzwiach dzieliliśmy się swoimi uwagami na temat naszych podopiecznych. Ojciec Jan ważył każde słowo, nigdy nie podejmował pochopnych decyzji. Myślę, że czuł wagę tego, co robił, a ponieważ był człowiekiem głębokiej modlitwy, zachowywał ogromny respekt dla Bożych planów. Nie sądzę, by można o nim powiedzieć, że uważał się za fachowca ds. powołań. Za to bez wątplenia można powiedzieć, że był człowiekiem Bożym.

Chłopcy, którzy do nas przychodzili, mieli podobne problemy jak i ja przed laty. Stawiali dokładnie te same pytania: czego chce ode mnie Bóg? My zaś mieliśmy pomóc im znaleźć na nie odpowiedź. Przychodzili różni, jak społeczeństwo, w którym wzrastali i z którego wyszli: uczciwi, dostępni, prostolinijni, dwulicowi. Byli tacy, którzy „spowiadali się” z kilku złotych w kieszeni; byli też tacy, którzy wieczorami wymykali się potajemnie z pokojów i odwiedzali znane w wiosce dziewczyny... Jeden z nich uprawiał ten proceder nawet dosyć długo, zanim sprawa wyszła na jaw. Byłem na niego wściekły. Oszukiwał nas. Dzisiaj jest księdzem.

Wielu z nich zostało księżmi. Niektórzy odeszli: w trakcie studiów, po święceniach – różnie. Jeżeli mam być wobec siebie szczerzy, to muszę

przyznać, że nie miałem zielonego pojęcia, czy mają powołanie czy nie. Mógłbym bez problemu opowiedzieć o ich cechach charakteru, o tym czy dali się lubić czy nie, czy sprawiali wrażenie uczciwych czy nie, ale czy „byli w ciąży”, czy nosili w sobie dar Bożego powołania? Do dziś nie wiem.

*„Proście Pana żniwa, aby wyprawił robotników na swoje żniwo”,
rzekł Jezus i spojrział na falujące przed nim morze habitów.*

Gdyby to było takie proste... Czy można mieć pewność, że ma się powołanie? Jeżeli jest się arogantem, taką pewność można zdobyć bardzo szybko, nawet przed wstąpieniem do seminarium; jeżeli jednak ma się trochę Bożego Ducha, można tej pewności nie zdobyć nigdy. Nie ma matematycznej pewności. Nie ma i być nie może, bo wiara wyraźnie dystansuje się od matematyki. Chrystus nie byłby chyba dobrym matematykiem. To z pewnością nie było Jego powołanie. Dzielił, mnożył, dodawał i odejmował, jak chciał, jak uważał za słuszne, jak podpowiadał Mu Duch Ojca, i najczęściej było to sprzeczne z matematyką. Istnieje wprawdzie przeświadczenie wiary (wierzę, że zostałem powołany), ale to co innego. Między „wiem” a „wierzę” istnieje pewna subtelna różnica. Subtelna nie znaczy jednak: nieistotna.

Problem ten przemyślał dość dogłębnie jeden z największych teologów ewangelickich, Rudolf Bultmann (1884–1976). W swoim czterotomowym dziele *Glauben und Verstehen* („Wierzyć i rozumieć”) definiuje wiarę jako swoisty rodzaj wiedzy, sposób rozumienia/interpretacji doświadczanej przez nas rzeczywistości ze świadomością, że rozgrywa się ona przed Bogiem, w Jego Obecności. Jest to jakaś wiedza, ale na pewno nie matematyczna. Wiara i rozum niekoniecznie muszą się uzupełniać. Mogą czasem – jak Piotra kroczącego po wodzie – przyprawić o zawrót głowy...

Pamiętam swego rodzaju szok, jakiego kiedyś doznałem, rozmawiając z pewnym starszym kapłanem, który w owczarni Dobrego Pasterza przeżył bądź co bądź kilkadziesiąt lat swojego życia i wielu ludziom pomógł spotkać Chrystusa. Na pewno był dobrym pasterzem.

Przyznał, że decyzja o życiu w kapłaństwie była wprawdzie słuszna, był szczęśliwy i zarazem wdzięczny Bogu za te kilkadziesiąt lat wier-

nej służby, nie mógłby jednak dać głowy – jak twierdził – że każda inna decyzja byłaby błędna, że nie podobałaby się Bogu... i uczyniła go nieszczęśliwym. Powiedział to mnie, współbratu w kapłaństwie. Nie wyznałby tego nigdy z ambony czy na lekcji religii. A jeżeli miał rację?

Gdzie szukać potwierdzenia, że nie idzie się fałszywą drogą?

Na podstawie moich doświadczeń mogę tylko powiedzieć: nie ma jednej, niezawodnej recepty. Trzeba przez życie iść z szeroko otwartymi oczyma, bo nasz Bóg nie jest Bogiem umarłych – jak mówi Pismo – lecz żywych. On nie przysypia, On z nami ciągle rozmawia, przemawia do nas, i to nie tylko tymi kanałami, które my sami stawiamy do Jego dyspozycji. On sam wybiera częstotliwości, na których do nas mówi i nie ma sensu Go pouczać. Zamiast tego lepiej patrzeć i słuchać. I ciągle się dostrajać. I dalej nasłuchiwać.

Bóg nie przemawia do nas jedynie wtedy, gdy jesteśmy na kolanach. On mówi do nas także wtedy, gdy na kolanach włączymy się od krawężnika do krawężnika.

Mnie to „detektywistyczne” poszukiwanie odpowiedzi, to ciągle nasłuchiwanie kosztowało sporo wysiłku. Na szczęście nie byłem sam. Moim towarzyszem był wówczas jeden ze współbraci, z tego samego roku. On też miał wątpliwości. I to niejedną. Odpowiedzi na nasze pytania nie mogliśmy znaleźć w najbliższym otoczeniu. Tam wszystko sprowadzało się do jednego: módl się, ufaj i znów się módl, i znów ufaj.

Modliliśmy się i próbowaliśmy ufać... I nic. Pytania wciąż pozostawały bez odpowiedzi, bez zmian. W Krakowie znaleźliśmy bardzo zacną starszą kobietę, która pracowała w duszpasterstwie katolickim. O ile dobrze pamiętam, przynajmniej jeden z jej synów był księdzem. Była doświadczonym psychologiem. Wspaniała kobieta. Spotkania z nią trzymaliśmy w tajemnicy przed współbraćmi, by nie ryzykować niebezpiecznej etykiety „problematycznych” i co najważniejsze – by nie ryzykować opuszczenia szeregów zgromadzenia. Umawialiśmy się z nią w czwartki, bo czwartki były u nas dniami przechadzek po mieście. W ten sposób nie wpadaliśmy

nikomu w oko. Pani Popiel, bo tak się nazywała, utwierdzała nas w przekonaniu, że powinniśmy dalej niestrudzenie poszukiwać odpowiedzi na nasze pytania, że tak jest dobrze, że to nasze „niepozbywanie” wewnętrzne nawet dobrze o nas świadczy.

Wieczorami, po modlitwach spotykaliśmy się z moim przyjacielem w małej biblioteczce seminaryjnej, by razem czytać i wymieniać się myślami. Pamiętam, jak obaj zafascynowani byliśmy wówczas książką Thomasa A. Harrisa, *W zgodzie z sobą i z tobą* (Pax, Warszawa 1987).

W niej odnajdywaliśmy siebie: w dziecku, w rodzicu, w dorosłym. To były wspaniałe chwile. Chwile narodzin prawdy: o sobie, o innych, o otaczającym nas świecie, także o swoim powołaniu. Nie zdradzaliśmy się z tym specjalnie przed innymi, żeby przypadkiem nie zaczęto się zastanawiać, czy aby nam właśnie nie brak tego powołania.

Jeśli chodzi o mnie, to szukałem do końca, niemal do dnia przyjęcia święceń kapłańskich. Do samego końca nie zgadzało mi się jeszcze wiele rzeczy. Może dlatego, że z wykształcenia jestem nie tylko teologiem, ale i technikiem teletransmisji, fascynuje mnie porównywanie fenomenu wsłuchiwania się w głos Boga z dostrajaniem.

Pamiętam mój pierwszy, samodzielnie zrobiony odbiornik radiofoniczny, pamiętam trud szukania odpowiednich częstotliwości. I radość, gdy usłyszałem pierwsze rozlegające się dźwięki. I nie inaczej jest z powołaniem. To nic innego jak ciągle na- czy dostrajanie się do częstotliwości fal Niebieskiego Nadajnika. A ta częstotliwość ciągle ucieka... Wprawdzie można ją raz na zawsze „unieruchomić”, ale nie jestem pewien, czy to na pewno dobry pomysł. Kiedyś może się okazać, że słuchaliśmy „nie tej stacji”. Chyba lepiej jest mimo wszystko starać się ciągle szukać właściwej fali...

Nawet na szóstym roku studiów, zaledwie kilka miesięcy przed otrzymaniem święceń kapłańskich ciągle jeszcze wytrwale majstrowałem przy moim Odbiorniku, nieustannie nasłuchując. Wciąż nie byłem pewien, czy odbieram odpowiednie fale. Mój ojciec duchowy twierdził, że to szatan „miesza”, że to właśnie jemu zależy, by nawet w ostatniej chwili uszczknąć jeszcze coś dla siebie i doprowadzić mnie do zmiany decyzji, do wycofania się. Ojciec duchowy uspokajał mnie mówiąc, że nie mam się tym przejmować. Nie wiem... szatana aż tak dobrze nie znam.

Sporządziłem nawet listę „za” i „przeciw”. „Za” przyjęciem święceń i „przeciw” temu. Brałem pod uwagę wszystkie warianty, nawet taki, że pomyliłem się, że przez tych sześć lat byłem tu, w seminarium, ze strachu, by nie spojrzeć jakiejś prawdzie w oczy, że zrobiłem to dla mamy, uciekając od czegoś, z powodu lęku przed czymś. Zastanawiałem się na serio. To nie była zabawa. Na szali kładłem wszystko. Byłem gotów podjąć skrajne decyzje. To był czas nieprzespanych nocy, nocy uciążliwych od zmagań i trudnych myśli. Czekałem na jakiś znak od Boga. Nie wydarzyło się nic szczególnego...

Podjąłem ostateczną decyzję. I nigdy jej zresztą nie żałowałem. Gdyby jednak wówczas ktoś mnie zapytał, czy jestem pewien, że mam powołanie, mógłbym jedynie odpowiedzieć, iż wierzę, że postępuję słusznie... nic poza tym. Na moim obrazku prymicyjnym kazałem wydrukować: „Panie, Ty wszystko wiesz...” (J 21,17). Ten cytat zawierał całą prawdę, w nim kryło się wszystko. Z tą nadzieją podszedłem do biskupa Briana Hennesy’ego CR z prośbą o nałożenie rąk i udzielenie mi święceń kapłańskich. A dostrajając się nie przestałem po dzień dzisiejszy...

Czy można przejść przez seminarium duchowne, odbyć formację zakonną, zostać księdzem i mimo to nie być powołanym do kapłaństwa, czyli nie mieć powołania?

Odpowiedź jest prosta, przynajmniej ta, którą można usłyszeć z ust przełożonych kościelnych: jeżeli po odbytej próbie kilku lat formacji i przy dobrej woli alumna (kandydata do święceń) przełożeni decydują się na udzielenie mu święceń kapłańskich, to jest to trochę tak, jakby pod tą decyzją podpisywał się sam Duch Święty. Werdykt: kandydat ma powołanie.

Pomijając „kompetencję” przełożonych (o tym wspominałem już wcześniej), problematyczna jest już sama wola adepta do kapłaństwa. Ileż to razy zadawaliśmy sobie pytania: czy to aby nie pomyłka... czy nie robimy tego przypadkiem z jakichś całkiem innych powodów aniżeli te „czyste”, o które by chodziło? Dziś wątpię, czy takie właśnie, tzn. absolutnie „czyste” w ogóle istnieją.

Takich „ukrytych” przyczyn może być przynajmniej kilka: „zawiedziona miłość”, „ze względu na rodzinę, zmarłą matkę i jej ostatnią wolę”, pogoń

za społecznym prestiżem, chęć zdobycia jakiegoś awansu, ucieczka lub pragnienie osiągnięcia „czegoś”, czego autorem niekoniecznie musi być jedynie Bóg...

Trzeba ogromnej odwagi, by odpowiedzieć na te pytania uczciwie i bez lęku... by stanąć przed sobą nagim, bez kamuflażu, nie obawiając się najboleśniejszej prawdy o sobie.

W tym sensie formacja zakonna, z jej wyprawą w głąb siebie, doświadczaniem samego siebie jest przeżyciem wyjątkowym i niezwykłym, na pewno nietłumaczącym, ale z pewnością pięknym.

Trzeba stanąć twarzą w twarz z samotnością, ze zjawiskiem mamiącej fatamorgany, z „dzikością zwierzęcia”, z rzucającym na kolana palącym światłem – słońcem pustyni.

To doświadczenie mistrzowie życia duchowego nazywali „doświadczeniem pustyni”⁶ i chyba coś w tym jest...

Zawsze kiedy się zastanawiam, czy każdy kapłan wkładający przed mszą ornat, nie jest tu, gdzie stoi, z przypadku, myślę o Marianie. Opowiadano o nim, że był jednym z tych, którzy prześlizgnęli się przez lata formacji... którym się udało. Marian, w oczach wielu, nie miał powołania. W zasadzie znałem go krótko. Był na piątym roku studiów, kiedy ja przekraczałem progi seminarium na Łobzowskiej. Nie był ani gorszy, ani lepszy od tych, których znam, którzy jak on zostali wyświęceni, i którzy do dziś są księżmi. Interesował się filozofią, grał na instrumentach klawiszowych. Można powiedzieć, że był lubiany, choć ponoć „rubaszny”. „Pochodzi z Kielc – mówili niektórzy – więc czego się można spodziewać” – dodawali nie bez cienia złośliwości.

To właśnie on w dniu swoich święceń kapłańskich (przekazywano to później chętnie z ust do ust) miał ponoć powiedzieć: „A teraz to mogą mnie wszyscy pocałować w d...”. Nie była to zbyt wyrafinowana forma

⁶ Chodzi tu o zjawisko, które teologia duchowości nazywa *acedią* (wyczerpanie, przygnębienie, znudzenie), a które określa się też mianem *demonia południa*. Wiąże się to z sytuacją mnicha (w starożytności chrześcijańskiej), który w upalne, pustynne południe dawał się ovladnąć temuż demonowi. Pragnął on wtedy zmienić swoją sytuację życiową. Oczywiście tradycja teologiczna nie ogranicza tego zjawiska wyłącznie do życia zakonnego. Demon południa wiąże się ze smutkiem, z brakiem radości. Chodzi tu o taką sytuację, w której wiele się już zrobiło, ale do celu jest jeszcze bardzo daleko; sytuację, w której nie wiadomo, co zrobić, bo i do startu, i do mety jest jednakowo daleko: początek się jakoś rozmył, a końca nie widać (przyp. red.).

wrażenia swoich uczuć, zapewne niegodna polecenia, ale bezsprzecznie dobitna i wyraźna. Najprawdopodobniej chciał przez to powiedzieć: „A teraz to niech się ode mnie wszyscy odczepią! Mam dosyć tej kontroli, ciąglego ograniczania, głupich decyzji przełożonych... Księdzu nic już nie mogą zrobić, wreszcie nie muszę się ich bać”.

Zgromadzenie uznało go za godnego święceń kapłańskich, on sam również podjął decyzję, by zostać kapłanem, zdał wszystkie egzaminy – w ten sposób spełnione zostały wszystkie konieczne warunki, by otrzymać święcenia kapłańskie. Nie był złym księdzem. Miał opinię „równego”. Po kilku latach odszedł. Odszedł z parafii, do której ja potem trafiłem, stąd znam go też z opowiadań innych. Nie odszedł sam, lecz z dziewczyną. Przeniósł się do Niemiec.

Marian pozostanie w pamięci wielu swoich byłych współbraci jako jeden z tych, którzy się przez seminarium „prześlizgnęli”. Prześlizgnął się czy nie? Kto to wie? Kto jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie? Zwierzchnicy kościelni twierdzili, że jest „godny święceń” i w trakcie ceremonii udzielania święceń głośno to oznajmili. Nakładający na niego ręce biskup mówił coś o jego wybraniu i powołaniu przez Boga... jak zresztą każdego z nas. No więc jak to jest naprawdę?

Nie jest to sprawa prosta. Jeżeli on się rzeczywiście jedynie „prześlizgnął”, to oczywiście jego wina, ale to też rzuca światło na „kompetencje” całego aparatu, który go do tych święceń dopuścił, dziękował Bogu na kolanach za jego powołanie i nawoływał wszystkich obecnych do dzielenia tej radości. Nałożenie rąk biskupa, namaszczenie świętym olejem, podkreślana kilkakrotnie w czasie ceremonii święceń radość z nowego kapłana, którego Bóg nam zsyła, nabierają w kontekście streszczonej historii nieco innego wymiaru.

Co powiedzieć o „kompetencjach” przełożonych – tych, których powołaniem jest „tłumaczenie woli Boga”? Pewnie, że wszystko można zwalić na Mariana i twierdzić, że wszystkich oszukał, że doskonale się kamuflował, że miał szansę, ale ją zaprzepaścił. Tak jest najprościej. Tylko czy to prawda? Marian stwierdziłby zapewne, że się nie ślizgał, i że swoją drogę do kapłaństwa traktował poważnie, ale nie sądzę, by ktoś wziął to dziś na serio. Możliwe, że da się prześlizgnąć, mając wytyczony jakiś określony cel, który realizuje się z godnym podziwu świętym uporem; cel, którego autorem niekoniecznie musi

być Bóg...⁷ Może dotyczy to wszystkich... także tych, którzy do dzisiaj stają przed ołtarzem i odprawiają mszę świętą? Matematycznej pewności nie ma.

Czy kandydatowi do kapłaństwa zagląda się w majtki?

Brzmi to pewnie śmiesznie, ale mnie taka myśl napędziła trochę strachu... Wcale nie było mi do śmiechu. Po raz pierwszy usłyszałem o takiej „możliwości” w 1979 roku, w Radziwiłowie Mazowieckim pod Warszawą, gdzie zaczynałem moją drogę kapłańską. Byłem wówczas w nowicjacie. Nie pamiętam już, kto był autorem tego pomysłu, kto o tym „badaniu” wspomniał, ale zabrzmiało to dość prawdopodobnie.

Prawo kościelne mówi, że święcenia kapłańskie może przyjąć wyłącznie mężczyzna... Jak więc inaczej przełożeni kościoła mieliby się przekonać o jego męskości, jeśli nie zaglądając w majtki? Zarost na twarzy, owłosione nogi, brak biustu jeszcze o niczym nie świadczą. To ma być mężczyzna z prawdziwego zdarzenia! Jak ten w Starym Testamencie, składany na ołtarzu, w ofierze, baranek bez zmayı.

Przyjąłem tę nowinę z mieszanymi uczuciami. Nie dlatego żebym się bał, że po tych badaniach zostanę odesłany do domu. Miałem opory, żeby się z tym zgodzić i żeby od jednego zajrzenia w moje majtki miało zależeć tak wiele. Byłem nastawiony na to, że moja przyszłość zależeć będzie od tego, co mam w sercu i w głowie... a nie w majtkach.

Wszystko to okazało się jednak nieprawdą. W majtki się dziś kandydatom nie zagląda, mogą przysiąc (aczkolwiek nie zawsze tak było!). Zakłada się widocznie, że każdy ma wszystko na miejscu. Ten jeden rzut oka byłby i tak najmniej skomplikowanym badaniem tożsamości przyszłych nowicjuszy. Znacznie trudniejsze byłoby przecież przeświecenie serca kandydata do kapłaństwa: tam ludzkie oko nie sięga.

Nieuczciwie byłoby samemu sobie nie zadać pytania: „Czy uważam, że i ja mam/miałem powołanie?”

⁷ W czasach, w których autor przechodził swoją formację zakonno-kapłańską, ambicją „władzy ludowej” było umieszczanie w seminariach duchownych swoich kandydatów. W takich wypadkach trudno mówić o powołaniu do kapłaństwa (przyp. red.).

Nie zdziwiłbym się gdyby ktoś – po tym wszystkim, co już napisałem – wyprzedził mnie z odpowiedzią: „Oczywiście będzie twierdził, że nie, że nie miał, bo inaczej musiałby się przyznać, że je zmarnował. Dlatego przecież relatywizował przez cały czas tę historię powołania, mówił o braku pewności matematycznej, o ciągłym dostrajaniu się, starając się dowieść, że to jedynie ludzie maczają w tym palce, a Bóg nie ma z tym nic wspólnego”.

A ja myślę, wierzę, że powołany byłem i jestem. Nie szukam odpowiedzi na pytanie, kto zawinił: ja sam, a może kobieta, proboszcz, atmosfera we wspólnocie zakonnej, Kościół, samotność w parafii... W ogóle nie szukam winnych. Nie szukam ich, bo to, co się wydarzyło, uważam za istotny, konieczny, nieodłączny fragment mojego życiowego scenariusza. Trudno mi tu mówić o jakiejś winie (wiem, że wielu policzy mi to za przykład obrzydliwej arogancji). Przyszło mi nagle żyć moim powołaniem nie w murach plebanii, nie w gronie współbraci, nawet nie w Kościele.

Pewnie, że wiele się przez to zmieniło. Na pewno nie jestem już taki czysty jak wówczas, nie stoję na piedestale, nikt nie słucha mnie tak, jak kiedyś (teraz, żeby ktoś mnie posłuchał, muszę się nieźle nakrzyczeć), nie chodzę do spowiedzi, nie mogę odprawiać mszy św., nie spowiadam... Muszę nauczyć się żyć kapłaństwem inaczej, zupełnie inaczej.

Kapłaństwo przeżywane w rodzinie, w pracy, pozbawione swoistego splendoru, bez żadnych przywilejów, bez tych dających poczucie bezpieczeństwa (pewnego komfortu) wypracowanych struktur, jakie zawiera życie we wspólnocie zakonnej czy kapłańskiej, to coś zupełnie nowego. Tego muszę się dopiero nauczyć. Nie mam do dyspozycji żadnych podręczników, wskazówek ojców duchowych, wzorów świętych, żadnych patronów. Mam za to niezły balast, który trzeba dodatkowo wziąć na plecy.

Nie sprawując żadnej z tych „wyjątkowych”, zarezerwowanych dla stanu kapłańskiego czynności, nie wyróżniając się pozycją, nie mając do dyspozycji ambony, sutanny czy koloratki ani wielu innych wypróbowanych „kanałów” przenoszenia Dobrej Nowiny – po prostu zwyczajnie celebрую codzienność i jest to duże wyzwanie. Na tej drodze dość łatwo stracić – czy lepiej zmarnować – powołanie i czasami wydaje mi się, że jestem od tego tylko o krok. Ale myślę tak dopiero teraz.

Zarówno moje powołanie, jak i moje odejście traktuję jako dla mnie samego niezrozumiałą tajemnicę. Jedno przynajmniej wydaje się jasne, jak mówi Pismo Święte: „...wołą Bożą jest wasze uświęcenie...” (1Tes 4, 3). I przy tym proponowałbym pozostać. Bóg nie uparł się, żebyśmy byli świętymi, lecz byśmy wzrastali. I to jest naszym największym powołaniem.

Boję się ludzi (nie wyłączając teologów), którzy własne opinie i sądy podają bez zmruczenia oka za głos Boga. Proponowałbym więc, by przywilej bezbłędnego rozumienia woli Bożej pozostawić samemu Bogu. Wiele razy mówił przecież, powtarzał, że Jego drogi nie są drogami naszymi, a Jego myśli naszymi myślami, i udowadniał to tak często, że w końcu wypadałoby Mu uwierzyć. Sobie zaś pozostawmy przywilej trwania w ciągłej niepewności.

Niepewności, czy nie mylimy Go z kimś innym, czy właściwie Go rozumiemy... Tak będzie pewnie lepiej i dla nas, i dla tych, którym dane jest żyć obok nas. Tak myślę i mocno w to wierzę.

Wysłuchiwanie się w Głos Boga, a w rezultacie posłuszeństwo temuż Głosowi (a w konsekwencji regułom zakonnym i woli przełożonych), to centralny temat życia zakonnego i kapłańskiego. I chyba z nim właśnie zakonnicy (kapłani) mają największe problemy. Właśnie z posłuszeństwem. Dlaczego? Bo posłuszeństwo to trochę jak sznur związujący habit (sutannę). Jeśliby go poluzować, to wszystko leci.

Nie można mieć problemów z czystością, jeżeli jest się naprawdę posłusznym: wtedy bowiem nie ma za bardzo jak i kiedy zgrzeszyć. Nie powinno się spędzać zbyt dużo czasu z jedną tylko kobietą, i absolutnie nie przy zamkniętych drzwiach. Do tego przeznaczony jest osobny pokój, tzw. rozmównica lub pokoje gościnne – przypominają reguły zakonne. Zasadniczo obowiązuje w czasie tych spotkań strój zakonny, to znaczy albo długa sutanna, albo zapięta na ostatni guzik pod szyją koszula z koloratką. Jak tu zgrzeszyć? To tyle względem celibatu.

Zachowując posłuszeństwo nie można także zgrzeszyć przeciwko ubóstwu, gdyż będąc posłusznym statutom zakonnym, każdy grosz odprowadza się w odpowiednie miejsce. Posłuszny regule zakonnej zakonnik wie, że nie posiada prawa własności i wszystko – zgodnie z regułami zakonnymi – odbywa się za wyraźną zgodą jego przełożonych. Więc jak tu czegoś

nadużyć... Własny samochód czy książeczka oszczędnościowa to kwestia decyzji wyższych lub bezpośrednich przełożonych. Każdy zakup, nabycie czegokolwiek to decyzja nie tylko samego zakonnika, ale także jego przełożonego – to wspólna decyzja.

Problem pojawia się wówczas, gdy zakonnik zaczyna iść własną drogą, nieważne w tej chwili czy słuszną czy nie, ale własną... Własną znaczy: złą. Posłuszeństwo pełni rolę strażnika. On nie ma mieć „własnych” dróg! Stąd tak dużą wagę przywiązuje się w zgromadzeniach zakonnych do wierności właśnie temu ślubowi – ślubowi posłuszeństwa. Na tę wierność kładzie się największy nacisk, ją się też w trakcie formacji zakonnej zagorzale „trenuje”. Posłuszeństwo jest jak oś, wokół której wszystko się kręci. Jeżeli ktoś kiedyś uczestniczył w rekolekcjach ignacjańskich (tzn. opartych na metodzie św. Ignacego Loyoli), to wie, o czym mówię. Sam również takie rekolekcje odprawiałem. Chodzi w nich przede wszystkim o wyrzucenie się własnej woli, o absolutne, żołnierskie posłuszeństwo.

Św. Ignacy Loyola zajmuje w formacji duchowej zakonników szczególne miejsce. Ponad wszystko cenił on właśnie posłuszeństwo. Zanim został świętym, był żołnierzem. W czasie jednej z bitew odniósł ranę. Podczas długiej rekonwalescencji przeczytał „Życie Jezusa” i „Żywoty świętych”. Poruszony tymi lekturami, ocenił swoje życie jako powierzchowne i postanowił radykalnie je zmienić. Tak rozpoczęła się historia wielkiego świętego, żołnierza Chrystusowego, Ignacego Loyoli, założyciela zakonu jezuitów, „żołnierzy Chrystusowych”, jak często zwykło się o nich mówić. Jego żołnierskie cechy charakteru są w regule ignacjańskiej aż nadto widoczne: szczególne miejsce zajmują w niej dyscyplina i posłuszeństwo.

Na temat posłuszeństwa (także żołnierskiego) mamy dziś inne zdanie. Bezwarunkowe posłuszeństwo budzi uzasadnioną nieufność, a nawet lęk. Radziłbym więc ostrożnie z tym posłuszeństwem, bo nikt – nawet przełożeni kościelni – nie jest wolny od grzechów i żołnierskich przywar.

A celibat? Z seksem w Kościele jest jak z ogniem: gdziekolwiek byś go dotknął, poparzysz ręce... O celibacie napisano już niejedną książkę, niejedną rozprawę naukową i niejeden artykuł, i jeżeli ktoś podchodzi do problemu celibatu bez uprzedzeń, i chce rzetelnie potraktować ten temat, opierając się zarówno na Biblii, jak i na historii Kościoła, to nie może mieć wątpliwości, że jest to kwestia dość otwarta.